

O wolnym rynku, kapitalizmie i niektórych jego krytykach - á propos dyskusji w "Zielonych Brygadach"

Mam nadzieję, że Bogdan Pliszka nie będzie miał mi za złe, że po raz kolejny jako inspirację do swoich rozważań wezmę jego tekst, a mianowicie „Historię pewnego nieporozumienia” zamieszczoną w "Zielonych Brygadach" [<http://www.zb.eco.pl/zb/>] nr 3/98. Tym razem zresztą generalnie zgadzam się z wyrażonym tam przez niego poglądem, że *wolny rynek* to nie to samo co *kapitalizm* i że często zachodzi nieporozumienie polegające na utożsamieniu jednego z drugim. Tu drobna uwaga: słowa nie mają „zapisanego w niebie” jedyne prawdziwego znaczenia i jeśli ktoś zdefiniuje sobie oba słowa jednakowo, to ich utożsamienie - przy założeniu tych definicji - oczywiście nie będzie błędem. Jednak na ogół słowa *kapitalizm* używa się na oznaczenie systemu gospodarczego panującego obecnie w przeważającej części świata, wszędzie tam, gdzie w jakimś stopniu istnieje prywatna własność środków produkcji. Słowo to jest pochodzenia marksistowskiego¹⁾ (jeszcze jeden dowód na to, jak głęboko marksistowskie pojęcia przeniknęły do tzw. świadomości społecznej) i w teorii Marksa znaczyło (zresztą chyba dotąd znaczy?) *ustrój społeczno-gospodarczy łączący środki produkcji należące do klasy kapitalistów z siłą roboczą pracowników najemnych pozbawionych środków produkcji, którego celem działalności gospodarczej jest zysk* (definicja ze Słownika Wyrazów Obcych Władysława Kopalińskiego z r. 1967; podobna jest w wydanej za czasów Gierka Encyklopedii Powszechnej PWN). Tak więc, trzymając się tej definicji, cechami charakterystycznymi *kapitalizmu* są a) fakt, że środki produkcji należą tylko do części społeczeństwa, zwanej *klasą kapitalistów* oraz b) fakt, że z owymi środkami produkcji swą siłą roboczą łączą *pracownicy najemni* (a nie np. niewolnicy czy chłopci pańszczyźniani). Nietrudno dostrzec, że definicja ta stosuje się zarówno do gospodarek państw tradycyjnie powszechnie zwanych kapitalistycznymi, jak i do gospodarek „bardziej ludzkich” (tzn. tych, które korzystały generalnie z pracy najemnej, nie niewolniczej - np. późny PRL) krajów tzw. realnego socjalizmu. Jednak oczywiście podstawowym elementem ideologii marksizmu w wydaniu reżimu sowieckiego i podległych mu partii komunistycznych na Zachodzie było podkreślanie, że w krajach obozu sowieckiego środki produkcji należą do „mas pracujących”, a nie - jak to było w rzeczywistości - rządzących elit (które wówczas na mocy samej definicji *kapitalizmu* trzeba by było uznać za *klasę kapitalistów*). Tak więc utarło się (dzięki coraz popularniejszym marksistom, ale i ich krytykom, którzy przejęli słownictwo przeciwników), że *kapitalizm* jest tylko tam, gdzie właścicielami są generalnie (w mniejszym lub większym stopniu) osoby prywatne. Utarło się do tego stopnia, że dziś w zachodnich słownikach (wiem to, bo dowiedziałem się tego w trakcie internetowej dyskusji z pewnym człowiekiem z USA) definiuje się *kapitalizm* jako prywatną własność środków produkcji (w opozycji do *socjalizmu* - państwowej własności środków produkcji). Z tego też powodu ci z zachodnich anarchistów, którzy opowiadają się za nieograniczeniem prawa do pokojowo i uczciwie zdobytej prywatnej własności - nie będę tu wchodził w szczegóły, co należy tu rozumieć przez słowa „pokojowo” i „uczciwie” - a co za tym idzie, *wolnym rynkiem* (jeśli nikt nie może wtrącać się w to, co robisz ze swoją własnością, to nie może się w szczególności wtrącać w to, czy, jak, kiedy, komu i za ile ją sprzedajesz), nazywają się sami *anarchokapitalistami*. Dla szerokiego zaś ogółu *kapitalizm* oznacza rzeczywistość społeczno-gospodarczą panującą dziś w większości krajów świata.

Znaczenie terminu *wolny rynek* jest natomiast, jak myślę, jednoznacznie określone przez znaczenie słów „wolny” i „rynek” i nie budzi raczej powszechnych wątpliwości. Co prawda może się zdarzyć, że ktoś rozumie wymienione słowa zupełnie inaczej niż się to tradycyjnie przyjmuje, sądzę jednak, że dla większości ludzi wolny rynek oznacza sytuację, w której po pierwsze transfer dóbr materialnych i usług dokonywany jest w wyniku dobrowolnych umów wymiany (*rynek*), a po drugie istnieje swoboda zawierania takich umów i ich realizowania, tzn. nie grożą za to represje (*wolny*). Podane przez Bogdana Pliszkę we wspomnianym artykule przykłady (wskazanie, gdzie znajduje się stado mamutów w zamian za trzy tury; usługa seksualna w zamian za butelkę bimbrowu) są z punktu widzenia tej definicji trafnymi przykładami transakcji dokonywanych na *wolnym* (w zakresie wymienionych towarów i usług) *rynku*, choć sama definicja *wolnego*

rynku podana przez Bogdana nie jest dla mnie zbyt jasna (*sytuacja, w której określone dobra mają pewną wartość, będącą wynikiem umowy między sprzedawcą a nabywcą* - a co, jeśli w danym przypadku nie doszłoby do umowy - czy oznacza to, że rynek nie jest wolny lub że nie istnieje?). Przykłady te wskazują jednak, że *wolny rynek* dla kolegi Bogdana oznacza w gruncie rzeczy to samo co dla mnie i - jak sądzę - większości ludzi.

Jeżeli więc rozumieć przez *wolny rynek* to, co wyżej, a przez *kapitalizm* panujący nam dziś na tzw. Zachodzie i nie tylko ustrój gospodarczy (jak, powtarzam, według mnie rozumie to większość ludzi), to jasne jest nie tylko to, że słowa te znaczą coś innego, ale i to, że opisują coś innego. Innymi słowy, gospodarka *kapitalizmu* jako całość nie stanowi *wolnego rynku*. Ba, po dokładnym przyjrzeniu się jej funkcjonowaniu okazuje się, że przypadki wolnego rynku są tam raczej wyjątkami niż regułą. Po pierwsze, transfer wielkiej części dóbr (w wielu krajach ponad połowy) odbywa się w ogóle poza jakimkolwiek *rynkiem*, to znaczy pod przymusem: chodzi tu o podatki i inne przymusowe świadczenia na rzecz państwa. Oczywiście pieniądze z podatków nie trafiają do jakiegoś abstrakcyjnego „państwa”, tylko do określonych ludzi, w tym funkcjonariuszy państwowych oraz szeregu uprzywilejowanych grup otrzymujących dotacje lub robiących z państwem interesy. Innym przykładem pozarynkowego, przymusowego transferu jest np. zanieczyszczanie prywatnych terenów oraz powietrza w prywatnych domach i mieszkaniach wskutek funkcjonowania fabryk czy autostrad. Właściciele tych terenów z reguły przymusowo świadczą usługi polegające na udostępnieniu swojej ziemi, domu czy mieszkania na składowisko lotnych zanieczyszczeń (przeważnie za darmo). Jeśli ktoś ma wątpliwości, czy można to tak zaklasyfikować, to niech porówna to do udzielanej nieraz, oczywiście odpłatnie, usługi polegającej na udostępnieniu terenu na jakieś bardziej „uchwytny” odpady (np. różne płynne trucizny w beczkach). Jeszcze innym przykładem transferu dóbr poza rynkiem jest przymusowe wykupywanie czyjejś własności, jak ma to miejsce np. obecnie w Polsce w przypadku ziemi pod autostrady. Oprócz tego mamy oczywiście w większości krajów przymusową służbę wojskową, czasem też cywilną.

Tam, gdzie *rynek* funkcjonuje, na ogół nie jest *wolny*. Na większość rodzajów działalności gospodarczej w większości krajów kapitalistycznych potrzeba popartej opłatą zezwolenia (wiążącego się z wymogiem prowadzenia ksiąg, a nierzadko rejestrowania transakcji w specjalnych urządzeniach), a często i koncesji, których ilość jest ściśle ograniczana (w ten sposób sztucznie utrzymuje się oligopole). Istnieją na tym rynku monopole obejmujące dane terytorium - najczęściej zalicza się do nich poczta, telekomunikacja, energetyka, kolejnictwo, w mniejszej skali także np. wywożenie śmieci - a zawsze emisja pieniądza. Szeregu towarów nie wolno przewozić przez odgórnie ustalone granice. Czasami w ogóle nie wolno przez te granice przejeżdżać, nie wolno też przeważnie podejmować pracy po „niewłaściwej” stronie granicy, chyba że ma się na to zezwolenie. Niektóre towary teoretycznie wolno przez granice przewozić, ale trzeba zapłacić haracz celny; bywa, że jest on na tyle wysoki (celowo), że czyni ich sprzedaż za tą granicą nieopłacalną.

Nieporozumienie polegające na utożsamianiu *wolnego rynku* z *kapitalizmem* bierze się moim zdaniem z tego, że decydenci *kapitalizmu* (politycy i różnego rodzaju uprzywilejowani ciągnący z jego istnienia zyski) lubią od dawna nazywać ten ustrój gospodarką *wolnorynkową*, pragnąc ukryć fakt istnienia przywilejów i pozarynkowego transferu dóbr. Jak słusznie napisał w tym samym numerze „Zielonych Brygad” Marcin Hyla, *”tak zwany „wolny rynek” jest tylko słowem-wytrychem, używanym przez obecny establishment tego świata”*. Niestety krytycy tego establishmentu bardzo często przejmują słownictwo przeciwnika i w ślad za nim zaczynają używać terminu *wolny rynek* na określenie istniejącego stanu rzeczy. I tak np. Tomasz Perkowski („Zielone Brygady” nr 12/97) z początku trafnie zauważa, iż *funkcjonujący obecnie rynek nie jest wolnym rynkiem*, potem jednak pisze, że *wolny rynek (w takiej formie, jaką posiada on obecnie) wyzwala chciwość, przemoc, ale ma jedną wielką zaletę (...) - działa*. Polemizując z nim Dariusz Liszewski („Zielone Brygady” nr 3/98) również najwyraźniej zgadza się z poglądem, że *wolny rynek* w jakiejś formie obecnie istnieje: *”to, że „wyzwała” i „działa” - to wiemy*”. Richard Richardson („ZB” nr 12/97) pisze o *Unii Europejskiej i związanym z nią wolnorynkowym kapitalizmem*. Nawet Marcin Hyla, tuż po wypowiedzeniu cytowanych

wyżej słów o "słowie-wytrychu", używa sformułowania: "Dzisiejszy wolny rynek...".

Takie używanie tego terminu może powodować nieporozumienie i utrwalić czytelnika w błędnym przekonaniu, że obecna gospodarka np. Polski czy USA jest *wolnorynkowa*. Jednak moim zdaniem problem czasami bywa poważniejszy - niektórym krytykom istniejącego systemu rzeczywiście nie podoba się w nim właśnie to, że pozwala on, lub zamierza pozwolić, mimo wszystko na jakiś - dla nich zbyt duży - stopień wolności *rynku*. Z ich punktu widzenia funkcjonujący dziś *rynek* i tak jest zbyt *wolny*. Na przykład Wojciech Krawczuk w artykule „Zazielenić traktat z Maastricht” (*Silva Rerum*, "Biblioteka Zielonych Brygad [<http://www.zb.eco.pl/bzb/index.htm>]”) pisze, że *ostatnie decyzje rządów europejskich w takich sprawach, jak deregulacja rynku energetycznego mogą nas cofnąć w dziedzinie ochrony środowiska o kilkadziesiąt lat*. O cóż tu chodzi? Okazuje się, że *do tej pory odbiorca nie miał możliwości wybierania, od kogo chce kupić prąd. Teraz jeśli może kupić tani prąd dla swojej fabryki z elektrowni jądrowej we Francji albo droższy z elektrowni wodnej, to co wybierze?* Tak więc zdaniem p. Krawczuka jedynym ratunkiem dla środowiska przed zalewem elektrowni jądrowych jest pozbawienie odbiorcy swobody decydowania, od kogo może kupować prąd. Decydować powinni - jak dotychczas - urzędnicy. A co, jeśli ci urzędnicy zdecydują, że prąd ma być pobierany z elektrowni jądrowej, którą np. „trzeba wybudować w celu zaspokojenia rosnących potrzeb energetycznych regionu”? Zapewne p. Krawczuk hołduje przekonaniu, że troszczący się o środowisko urzędnik zezwoli na budowę i pobór prądu z wyłącznie elektrowni wodnych (hm... a co z tamami?), natomiast wredny odbiorca wybierze zawsze prąd z elektrowni jądrowych, który oczywiście zawsze będzie tańszy, nawet jeśli wskutek zliberalizowania rynku liczba potencjalnych odbiorców wielokrotnie wzrośnie. W innym tekście z *Silva Rerum*, „PROUT - trzecia ścieżka rozwoju” (opr. Vimal Kumar), możemy poczytać sobie o założeniach nowego ustroju społeczno-ekonomicznego przedstawianego jako alternatywa wobec *komunizmu, kapitalizmu i demokracji*. Założenie pierwsze: *żadnej jednostce nie powinno być wolno gromadzić bogactw materialnych bez jasnego pozwolenia lub zgody ciała zbiorowego*. Założenie drugie: *powinno się maksymalnie wykorzystywać i racjonalnie rozdzielać cały potencjał tego wszechświata - ziemski, nadziemski i duchowy*. Wg komentarza, ta druga zasada *zachęca społeczeństwo do użycia wszystkich zasobów Wszechświata do zaspokojenia ludzkich potrzeb* (chyba najskrajniejszy antropocentryzm, jaki można wymyślić); *minimum podstawowych potrzeb wszystkich ludzi powinno być zagwarantowane, ale te jednostki, które wniosły szczególny wkład w służbę społeczeństwu, powinny otrzymać specjalne wynagrodzenie*. Tak więc gromadzenie bogactw materialnych na własną rękę (nawet drogą własnej pracy lub dobrowolnych umów z innymi ludźmi) jest niedopuszczalne, potrzebna jest tu zgoda *ciała zbiorowego*. Tylko ono (de facto oznacza to rząd) ma prawo decydować, kto i w jakiej wysokości może otrzymać *specjalne wynagrodzenie*, a kto ma poprzestać na *minimum*. A więc jesteśmy w domu: albo tak jak w *kapitalizmie* zabierzemy w podatkach tym, co mieć *nie powinni* i damy tym, co mieć *powinni*, albo też tak jak w *komunizmie* uczynimy całą gospodarkę na danym terytorium jednym wielkim rządowym monopolem i będziemy wypłacać pensje tak, jak chcemy. Albo trzecia droga: częściowo to, częściowo to. Z dalszego komentarza wynika, że chyba to ostatnie: rządowe mają być *przemysły kluczowe*, reszta ma być spółdzielcza i (jeśli chodzi o *małe przedsiębiorstwa zatrudniające kilku ludzi i nie zajmujące się istotnymi dobrami i usługami*) prywatna. Do złudzenia przypomina to PRL...

Jak zauważył we wspomnianym na początku tekście Bogdan Pliszka, *wolny rynek istniał na wiele wieków przed pojawieniem się kapitalizmu*. Nie jest więc odpowiedzialny za to, co dzieje się obecnie, zwłaszcza, że dziś jest on raczej rzadkim zjawiskiem. Wolność *rynku* można ograniczać, jak każdą wolność, jedynie przymusem, tak więc wszelkie działania w tym kierunku muszą wiązać się z utrzymywaniem, a nierazdo rozbudową i wzrostem uprawnień aparatu przymusu. Próba ograniczenia tej wolności do zera w leninowskiej Rosji czy Kambodży Czerwonych Khmerów doprowadziła do gigantycznego terroru. Próba ograniczenia do zera *rynku* narkotyków (w tym marihuany) w USA doprowadziła do tego, że rozwinęły się gangi, specjalne antynarkotykowe oddziały działają dziś praktycznie ponad prawem, mogąc w każdej chwili wtargnąć do czyjegoś mieszkania pod pretekstem szukania narkotyków, a policja ma prawo skonfiskować człowiekowi dom, jeśli znajdzie w nim choćby niewielką ilość zakazanego środka, nawet jeśli nie zostało udowodnione, że narkotyki należą do właściciela domu lub że wiedział on o ich istnieniu. Ograniczenia

swobody *rynku* pracy polegające na niedopuszczaniu w różnych krajach do pracy pracowników pochodzących z innego kraju doprowadziły do ograniczenia swobody przekraczania granic państwowych, utrzymywania odpowiednio dużej liczby strażników granicznych, robienia łapanek na „nielegalnych” imigrantów i kontrolowania pracodawców, czy przypadkiem nie zatrudniają kogoś „na czarno”. I tak dalej. Istnienie *wolnego rynku* nie oznacza, że wszystkie dobrowolne stosunki między ludźmi muszą być *rynkowe*, nie wyklucza bezinteresowności i miłości. (W świecie, gdzie wszyscy byłiby bezinteresowni, *rynek* nie istniałby w ogóle, ale i nie trzeba byłoby go też zakazywać, ograniczać jego wolności ani z nim walczyć). Ale ograniczanie wolności *rynku* nie oznacza wzrostu bezinteresowności, a jedynie wzrost przymusu.

Na koniec w związku z całą dyskusją w „ZB” dotyczącą *wolnego rynku i kapitalizmu*. chciałbym przytoczyć fragment kultowej książki pokolenia hipisów - *Illuminatus!* Roberta Antona Wilsona [<http://www.rawilson.com/>] i Roberta Shea'y (był on już drukowany w „GAA” nr 32, ale może nie wszyscy go czytali). Wydaje mi się, że jest on tu jak najbardziej na miejscu.

„WOLNY RYNEK: Organizacja społeczeństwa, w której wszelkie transakcje ekonomiczne są wynikiem wolnego wyboru i nie podlegają środkom przymusu.

PAŃSTWO: Instytucja ingerująca w Wolny Rynek poprzez stosowanie środków przymusu oraz politykę uprzywilejowania (wspieraną środkami przymusu).

PODATKI: Forma przymusu bądź ingerencji w Wolny Rynek, polegająca na ściąganiu haraczu (tzw. podatku) przez państwo; pieniądze te pozwalają państwu na wynajem sił zbrojnych stosujących przymus w interesach grup uprzywilejowanych, jak również na bezkarnie angażowanie się w wojny, rozróby, eksperymenty, „reformy” itp., nie na koszt własny, lecz na koszt „swoich” obywateli.

*PRZYWILEJ: Z łacińskiego *privi*, prywatny, i *lege*, prawo. Korzyści zagwarantowane przez państwo i chronione za pomocą aparatury przymusu. Prawo na użytek prywatny.*

LICHWA: Forma przywileju oraz ingerencja w Wolny Rynek polegająca na tym, że któraś z grup popieranych przez państwo monopolizuje system monetarny, dzięki czemu pobiera haracz (tzw. udziały), pośrednio lub bezpośrednio, z większości, o ile nie wszystkich, transakcji gospodarczych.

PRYWATNA WŁASNOŚĆ ZIEMSKA: Forma przywileju oraz ingerencja w Wolny Rynek, w której jedna z grup popieranych przez państwo „posiada” ziemię, co pozwala jej ściągać haracz (podatek) od osób zamieszkałych, pracujących i produkujących na tym terenie.

CŁA: Forma przywileju oraz ingerencji w Wolny Rynek, która nie dopuszcza równoprawnej konkurencji produktów wytwarzanych poza granicami państwa z produktami krajowymi.

KAPITALIZM: Typ organizacji społecznej opartej na podatkach, lichwie, prywatnej własności ziemskiej i cłach w sposób uniemożliwiający funkcjonowanie Wolnego Rynku, którego jest rzekomo wyrazicielem.

KONSERWATYZM: Szkoła myśli kapitalistycznej rzekomo na usługach Wolnego Rynku, w rzeczywistości chroniąca lichwę, prywatną własność ziemską, cła i podatki.

LIBERALIZM²⁾: Szkoła myśli kapitalistycznej dążąca do naprawienia błędów kapitalizmu przez dodanie nowych praw do praw już istniejących. Ilekroć konserwatystom uda się przeprosować kolejny przywilej na drodze prawa, liberałowie usiłują przepchnąć ustawę ograniczającą przywilej, co zmusza konserwatystów do precyzyjniejszego sformułowania prawa forsującego przywilej itd., w myśl zasady „wszystko, co nie jest zakazane, obowiązuje” oraz „wszystko, co nie obowiązuje, jest zakazane”.

SOCJALIZM: Dążenie do obalenia wszelkich przywilejów i przekazania władzy z powrotem w ręce chroniącego przywileje dysponenta aparatu przymusu, jakim jest państwo; oligarchia kapitalistyczna zostaje niniejszym zamieniona na monopolizm państwowy. Bielenie izby za pomocą czarnej farby.

ANARCHIZM: Taka organizacja społeczna, w której Wolny Rynek funkcjonuje swobodnie bez podatków, lichwy, prywatnej własności ziemskiej, ceł i innych form przymusu i przywileju. ANARCHIŚCI PRAWICOWI przewidują, że Wolny Rynek będzie spontanicznie wywoływał silniejsze tendencje do rywalizacji niż współpracy. ANARCHIŚCI LEWICOWI przewidują, że Wolny Rynek będzie spontanicznie wywoływał w ludziach silniejsze tendencje do współpracy, niż rywalizacji”.

Jacek Sierpiński

Aby przeczytać komentarz Radka Olkowskiego, [kliknij tu](#).

¹⁾ Nie udało mi się tego stwierdzić z całkowitą pewnością, jednakże nigdy nie natrafiłem na jakikolwiek dowód, by ktoś używał tego terminu przed Marksem i Engelsem. Nawet jednak jeśli tak było, to zasługa spopularyzowania tego terminu przypada „klasykom” oraz ich późniejszym uczniom, komentatorom i krytykom.

²⁾ w amerykańskim znaczeniu tego słowa; w Europie przyjęło się nazywać tę „szkołę myśli” socjaldemokracją (przyp. js)

wolnosciove_czytanki/gospodarka/o_wolnym_rynku_kapitalizmie_i_niektorych_jego_krytykach_-_a_propos_dyskusji_w_zielonych_brygadach.txt ·
ostatnio zmienione: 2008/09/29 03:41 przez gigabyte